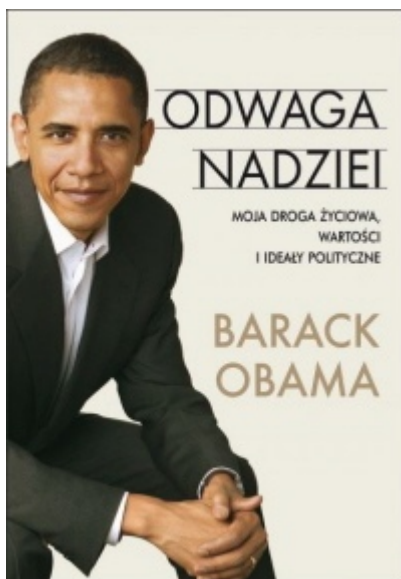


## USA według Baracka Obamy

Autor tekstu: **Piotr Napierała**



Dziwię się, że tak niewielkim zainteresowaniem w Polsce cieszą się dzieła liderów politycznych z zagranicy. Dlatego zainteresowała mnie przetłumaczona na polski książka Obamy (*The Audacity of Hope. Thoughts on Reclaiming the American Dream* z 2006 roku, przetłumaczona i wydana przez warszawskie Wyd. Albatros w 2008 jako: *Odwaga nadziei. Moja droga życiowa, wartości i ideały polityczne*), wówczas senatora Partii Demokratycznej, której tytuł stanowi nawiązanie do jego mowy programowej wygłoszonej na konwencji wyborczej Partii Demokratycznej w czerwcu 2004 roku. Książka zrobiła na mnie na tyle dobre wrażenie, a jej autor zaskoczył mnie na tyle pozytywnie swym trzeźwym realizmem, niezbyt ostatnio często spotykanym wśród sentymentalnych polityków USA, że postanowiłem napisać tę recenzję. Jako liberał szczególnie ciekaw byłem jak dalece liberałem jest Obama, i byłem pozytywnie zaskoczony. Okazuje się, że wbrew korwinowym i libertariańskim zawodzeniom, rdzeń amerykańskich Demokratów można, bez problemu nazwać liberałami pod niemal każdym względem. Opinie, jakie Obama wygłasza w książce na niemal każdy temat, są bardzo

bliskie liberalnemu credo, no chyba, że ktoś pomyli liberalizm z anarchokapitalizmem, nierealnym ideałem państwa-minimum, lub wolnorynkowym konserwatyżmem, co niestety zdarza się często. Obama, choć prawnik, rozumie i szanuje reguły świata biznesu, ceni innowacyjność i energetyczną samowystarczalność (alternatywne źródła energii itd.), której to potrzeby nie pojmuje szefostwo GOP (np. Romney zależny od nafciarzy z Teksasu). Obama rozumie potrzeby pracodawców i specjalistów z klasy średniej, i nie ma w sobie nic z roszczeniowej i populistycznej postawy europejskiego socjaldemokratycznego związkowca typu Harolda Wilsona. Jednym słowem liberał, i jak prawdziwy amerykański liberał odwołuje się do tych samych wartości, które przypisywał liberałom Kennedy; odwagi wprowadzania zmian, wiary w postęp, w wolność indywidualizm i odpowiedzialności jednostkowej. Obama przyznaje się, że wiele pomogła mu jego redaktorka Rachel Klayman, i już to budzi sympatię.

Zacznijmy jednak od początku. Główną troską Obamy jest to, by zwolennicy różnych opcji politycznych w USA mogli się porozumieć, używając tych samych słów i podobnie rozumiejąc ich znaczenie (s. 17), czyli przewrócenie jakiegoś podstawowego konsensusu lat 1776-1800 gdzieś między liberalizmem obyczajowym, i decentralizmem Jeffersona i centralistycznym konserwatyżmem Hamiltona. Obama mówi w sentymentalnym tonie o Danielu Websterze i dawnych krasomówcach senatu, w czasach kiedy, senatorzy przychodzą do Sali Senatu USA właściwie tylko by głosować, nie słuchając przemówień swych kolegów, lecz spiesząc na spotkania z wyborcami, sponsorami itd., co nie sprzyja porozumieniu, o jakim marzy (s. 26). Obama pisze o współczesnym senacie, jako o miejscu gdzie partia mająca choćby tylko niewielką przewagę, po trupach przepycha swe ustawy nie zważając na bezsilny opór mniejszości. Pisze o starszych senatorach, którzy z rozrzewnieniem wspominali czasy, gdy razem z przeciwnikami palili cygara i ustalali kompromis (s. 27), i konfrontuje to z kłamliwymi atakami wykorzystywanymi zwłaszcza przez Republikanów np. wobec Maxa Clelanda, senatora DP z Georgii, weterana wojennego, którego oskarżyli o... sprzyjanie Al.-Kaidzie (s. 30). Obama pisze, o pojawiających się przestrogach by DP i RP porzuciły wzajemne animozje i razem pracowały dla kraju, lecz minimalna przewaga jednej partii nad drugą temu nie sprzyja. Według Obamy polaryzacja pogłębia się, daje przykład demokracji z Georgii Zella Millera, członek NRA, który jak wielu polityków Południa, zraził się do DP i poparł Busha (s. 32). Obama pisze ciekawie o skrajnie prawicowych autorach typu Ann Coulter czy Seana Hannity'ego, iż nie traktuje ich tyrad poważnie, lecz jako chwytły mając poprawić sprzedaż ich książek, jednak denerwuje go nieustanne wylewani pomyj na obecne USA, jako rzekomego siedliska faszyzmu itd., i jak sam pisze, odpowiada wtedy wspominając mutiny act i alien act prezydenta Johna Adamsa, internowanie Amerykanów japońskiego pochodzenia przez rząd Roosevelta, hitleryzm, czy losy Solżenicyna i Mandeli (s. 33). Najpoważniejszymi problemami polityki USA w 2006 roku, były obok bezkompromisowości, zdaniem Obamy, kryzys systemu edukacji i manichejska wizja polityki zagranicznej (ciągłe interwencje lub izolacjonizm). Problematyczne są też nierealne obietnice polityków. Np. Republikanie obiecując narodowi wojnę bez ofiar i obniżenie podatków bez cięć

w sferze usług, sami uniemożliwili sobie sprawne rządzenie (s. 35), oraz teorie spiskowe radykalnych konserwatystów i wywrotowych liberałów. Niektórzy politycy starszego pokolenia potrafili i potrafią się przyjaźnić mimo odmiennej przynależności partyjnej (np. republikanin John Warner i demokrat z Zach. Wirginii, Robert Byrd (1917-2010), lub przyjaźniący się Alaskańczyk Ted Stevens (RP), który poniósł śmierć w katastrofie lotniczej na Alasce 9 sierpnia 2010 roku. i Hawajczyk Daniel Inouye (DP), który zmarł w 2012 r.), co wynikało z ich wspólnych drugo wojennych, żołnierskich wspomnień, a potem ze wspólnego poczucia zagrożenia przez ZSRR (s. 37-38). Być może jednak wynikało to także z innych przyczyn, w końcu senator z Wirginii, John Warner (ur. 1927) nie jest jakimś radykalnym baptystycznym członkiem GOP, lecz powszechnie szanowanym przez wzgląd na swoje kompetencje i umiarkowane stanowisko, oraz pewien liberalizm (jest m.in. zwolennikiem ograniczonego prawa do przerywania ciąży, ograniczeń w dostępie do broni palnej. Jako jeden z nielicznych republikanów w Senacie głosował w roku 1999 za uniewinnieniem prezydenta Billa Clintona z pierwszego z dwóch zarzutów w procesie o impeachment. Ostatnio zwrócił na siebie uwagę, krytykując iracką politykę prezydenta George'a W. Busha). Również Byrd, jednocześnie baptysta i mason zwany „chodzącą encyklopedią” był znany z niezależności poglądów. Być może dziś po prostu idealisci wierni samym sobie są na wymarciu. Obama zauważa, że DP tworzyli w latach 50. i 60. Rozmaici ludzie, jak liberał z Północy Hubert Humphrey czy konserwatysta z Południa James Eastland, których łączyła wiara w słuszność socjalnych zdobyczy New Deal, oraz filozofia: „żyj i pozwól żyć innym”, która w praktyce prowadziła także do przymyknięcia oka na kłopoty czarnych na Południu. Podobnie było w GOP, gdzie było miejsce i dla radykalnych konserwatystów z Zachodu jak Barry Goldwater, liberalnych RINOs ze Wschodu jak Nelson Rockefeller, czy zwolenników Lincolna i Burke'a (s. 38-39). Całość GOP spajały: silniejszy niż w DP antykomunizm (choć Kennedy im dorównał), oraz poglądy wolnorynkowe. Zdaniem Obamy ta epoka skończyła się wraz z ruchem o prawa obywatelskie dla czarnych, kiedy to sam Lyndon Johnson w 1964 roku wiedział, że podpisując ustawę o prawach, oddaje Południe Republikanom na nie dającą się przewidzieć przyszłość (s. 40). Potem podziały zaogniła jeszcze wojna w Wietnamie, uświadamiając masom, że rząd nie zawsze działa słusznie. Nixon próbował podważyć anty-segregacyjne prawa na Południu, a Carter połączyć pro-mniejszościowe elementy programu DP z tradycyjnymi. Podejście do kultury i kontrkultury stało się mimo to wyznacznikiem przynależności do obozu liberalnego lub konserwatywnego, a polityka przestała być sprawą czysto techniczną i stała się kwestią moralną (s. 41). Obama pisze, że jego mama wychowała go na liberała. Starła się ona zrozumieć motywy radykalnych działaczy kontrkultury, lecz pozostała liberalna wg kanonu sprzed 67 roku. Barack dorastał politycznie w czasach tuż przed epoką Reagana i wsiąkł w kontrkulturę (nie ufał np. nikomu powyżej 30 roku życia). Choć nie lubił kowbojskiej pozy i wyniosłości Reagana wobec biednych, z czasem docenił jednak zręczność z jaką Reagan trafił ze swym przesłaniem ładu i porządku do klasy średniej w czasie stagnacji ekonomicznej, oraz przerysował DP jako partię niebieskich ptaków oddalonych od prostego ludu (s. 44). Baby boom utrwalił ten obraz dopominając się od polityków prostoty stylu, stąd członek GOP który popiera aborcję, nie utrzyma się długo w partii, podobnie jak Demokrat należący do NRA nie utrzyma się długo w DP. Według Obamy, zasługą Clintona była próba zerwania z tym manichejskim obrazem, Clinton wiedział, że wolny rynek może przynieść sprawiedliwość społeczną, a dobrze ukierunkowany i ograniczony interwencjonizm może wzmocnić rynek. Pokazywał więc, że może istnieć „trzecia droga” (s. 47). Postępowy, ale nie dogmatyczny rząd Clintona osiągnął wiele w dziedzinie ekonomii, co doceniono, ale nie przekuło się to w trwałe poparcie dla DP, tym bardziej, że największy przyrost demograficzny miał miejsce na południu, a w senacie dwóch republikańskich posłów z małego Wyoming (niespełna 0,5 mln mieszkańców), liczy się tak jak dwóch demokratów z wielkiej Kalifornii prawie 34 miliony mieszkańców). Gingrich, Rove i Norquist próbowali zbudować trwały kadłub konserwatywny, i atakowali Clintona właśnie dlatego, że ten był zbyt niesablonowy jak na demokratę, stąd bezprecedensowa doza pomysł, jaka spadła na tego prezydenta (s. 48). Clinton obronił się, ale DP nie wyszła z tych utarczek równie skonsolidowana jak radykalni konserwatyści, którzy w kampanii 2000 zupełnie zagłuszyli swych umiarkowanych kolegów (przy okazji Obama dziwi się, że tak się stało, bo uważa, że umiar i wstrzeźliwość to typowo konserwatywne cnoty...). Ideologią rządu Busha, według Obamy nie był konserwatyzm, lecz absolutyzm — absolutne przekonanie, że rząd ma tylko prowadzić wojny i strzec własności (s. 51), choć Bush osobiście powoływał się na „współczujący konserwatyzm”. Obama zauważa, że nowi fundamentaliści chrześcijańscy z GOP nie szanują sądów, kompetencji, prasy, konwencji genewskiej, regulaminu senatu, a właściwie „niczego, co mogłoby spowolnić marsz ku nowej Jerozolimie”, uważa, że w DP też nie brakuje tak skrajnych poglądów, ale ich wyznawcy nie mieli nigdy władzy Rove'a czy DeLaya. Obama pisze, że zna bardzo niewiele osób pasujących do karykaturalnego stereotypu liberała, skoro nawet John Kerry jest zwolennikiem

utrzymania militarnej przewagi USA w świecie, większość posłów DP wyznaje kult Jezusa, a Hilary Clinton podkreśla zalety wolnego rynku. Obama żałuje, że DP daje się wciągać w manichejskie spory i np. „w odpowiedzi na integryzm religijny”, zrównuje tolerancję z sekularyzmem” (?) zamiast podjąć dyskusję religijną (s. 54), która by wyrwała religię z łap GOP. Obama postuluje by dostrzegać złożoność losów Amerykanów; rasistów z Południa, który zaprzyjaźniają się z czarnymi współpracownikami, feministek, które oplakują dawną aborcję, chrześcijankę, która opłaciła aborcję swej nastoletniej córki, i byłego członka Czarnych Panter, który zajął się rynkiem nieruchomości.

Busha Obama określa jako sympatycznego człowieka, zdyscyplinowanego, lecz otwartego (s. 59), choć uważa, że czasem podczas przemówień, staje się dogmatykiem nie znoszącym sprzeciwu. Obama boleje nad tym, tak samo jak nad tym, że TV pokazuje Amerykanów jako bardziej skrajnych w poglądach niż są w rzeczywistości. Uważa, że jego objazd po miasteczkach południowego Illinois dowodzi, iż w rzeczywistości pastory są bardziej tolerancyjni, ubodzy łaskawszy wobec bogatych i krytyczniejsi wobec siebie, a ludzie świeccy bardziej uduchowieni, niż pokazuje TV (s. 66). Rzadko też można wg Obamy przyporządkować konkretną osobą pod etykietkę liberała czy konserwatysty. Uważa, że Demokraci popełniają błąd unikając rozmów o wartościach moralnych, a GOP — robiąc z nich młot na DP. Obama szuka więc wartości wspólnych ponad podziałami, i uważa, że taką podstawową amerykańską wartością jest wolność, nie tylko ta negatywna wynikająca z potrzeby prywatności i godności, ale też ta pozytywna wolność rozumiana jak w „Poor Richard's Almanach” Benjamina Franklina, jako swobodę korzystania z różnych okazji (s. 70). Obama uważa Amerykanów za indywidualistów, odrzucających przeszłość i plemienność, ceniących patriotyzm i to co lokalne. USA uważa za szczęśliwe ponieważ nie doznały spazmów rewolucji jak Europa, lecz nawet i w USA patriotyzm, wiara czy dobroczynność, przeradzały się czasem w ksenofobię, fanatyzm i krępujący paternalizm (s. 71). Powiem tak, dobrze, że ktoś to zauważa, i że Obamę stać na krytykę swojego kraju. Problem polega na tym, że konserwatyści i liberałowie widzą tylko niektóre naruszenia wolności (podstęp i nadzór nad seksualnością tak, ale interwencjonizm i kontrola broni — nie — to o konserwatystach, zaś liberałowie oburzają się na wolność prasy, ale już nie na ciężkie koszty regulacji prawnych dla drobnych przedsiębiorców). Byłoby dobrze, gdyby obie strony uznały, że każdy człowiek jest depozytariuszem jakichś godnych szacunku wartości, i nie dawali się zaślepić ideologią, jak pewien polityk GOP z senatu stanu Illinois, który potępił w czambuł fundowanie przedszkolakom śniadań, ponieważ 'zniszczyłoby to ich poczucie samodzielności" (s. 75). Obama zwraca uwagę na to, że choć ceni wolność mediów nie lubi, jak podczas oglądania TV z dziećmi na ekranie widzi reklamy leków na zaburzenie erekcji, zwraca też uwagę na dziwne usprawiedliwienia ideowe częste w polityce, jak np. gigantyczne pensje dla menedżerów, tłumaczone np. na łamach Wall Street Journal, tym, że niby trzeba czymś przyciągnąć tych najlepszych, choć nie chciałby ich ograniczać ustawowo. Uważa, że należy dawać pieniądze na szkoły, ale też namawiać rodziców, by stymulowali rozwój pociech. Krótko mówiąc Obama chce prymatu zdrowego rozsądku nad ideologią. Ubolewa nad cyniczną standaryzacją przebiegu kampanii wyborczej np. „obowiązkowy postój kandydata przed kościołem czarnej ludności" (s. 80). Chwali demokratę Paula Simona, swego poprzednika z senatu Illinois, za zdolność zdobywania głosów ludzi o przeciwnych niż on poglądach, ponieważ wyczuwali oni jego szczerość i wierność wartościom (s. 82). Ubolewa też Obama nad częstym stasowaniem obstrukcji w senacie i nad preferowaniem przez kolejnych prezydentów dogmatyków zamiast umiarkowanych ludzi zdolnych do konsensusu na stanowiska sędziowskie (s. 99). Obama jest wielbicielem konstytucji USA opracowanej przez Madisona i przekonania Hamiltona, iż ścieranie się partii umożliwi bardziej roztrofną politykę (s. 105), która to opinia pochodziła zapewne od Montesquieu, którego pisma ojcowie założyciele znali. Za sędzią Baeyerem, Obama uważa konstytucję USA za dokument plastyczny, zmieniający się w ciągu dziejów, którego autorzy nie mogli przecież wiedzieć co wolność słowa będzie oznaczała w kontekście Internetu (nie do końca rozumiem, co miałyby oznaczać poza tym co zwykle, że każdy może powiedzieć wszystko, ale może też być oskarżony o kłamstwo...). Obama zwraca uwagę, że ojcowie założyciele, od razu po wydaniu konstytucji zaczęli się spierać o rolę prezydenta w kształtowaniu polityki zagranicznej, o funkcje Sądu Najwyższego w procesie tworzenia prawa itd. A koncepcja Adamsa polityki bez partii i politykierstwa okazała się przestarzała, jak tylko dobiegła końca 2. kadencja prezydencka Washingtona (s. 109-112). Konstytucja USA wg Obamy to sprzeciw wobec wszelkiego absolutyzmu, pochwała zaś rozmowy, umiaru i kompromisu. Madison chciał by „nikt nie był zmuszany do trzymania się swoich poglądów, jeśli nie był przekonany o ich słuszności i prawdziwości; wówczas gotów był przyjąć argumenty innych" (s. 113). Lincoln rozumiał refleksyjny wymiar demokracji i zawierał pewne kompromisy z Południem, by ocalić Unię (s. 116). Przestrzegał przed działaniem tak, jakbyśmy mieli pewność, że bóg jest po naszej stronie, bo takiej pewności, nikt mieć nie może.

Następnie Obama zauważa niekonsekwencję u wyborców, która często gromi polityków, jako całą grupę społeczną, choć rzadko głosuje tak by zmienić skład ciał ustawodawczych. Obama uważa polityków za w większości ludzi szczerych i porządnych, natomiast ich zły image przypisuje strachowi przed upokorzeniem i porażką (s. 127), co pcha ich ku lobbystom i oddala od problemów zwykłych ludzi (s. 136). Tak samo odpiera Obama zarzuty wobec dziennikarzy, podkreślając, że bardziej obiektywny rodzaj dziennikarstwa pojawił się w USA dopiero po II wojnie światowej (s. 143), choć daje przykład jak jego słowa pochwały dla Lincolna - ubożego samouka wypowiedziane w wywiadzie dla „Time”, zostały przekręcone przez „Wall Street Journal” tak, by sugerować iż Obama uważa się za drugiego Lincolna (s. 147). Ostatecznie Obama daje znać, że odczuwa brak obiektywnych dziennikarzy typu Waltera Cronkite czy Edwarda R. Murrowa i narzeka, że dziennikarze nie zacytują cię jeśli powiesz: „rozumiem punkt widzenia mojego adwersarza”, ale „jeśli ruszysz do ataku nie opędzisz się od kamer” (s. 148). Dalej pisze Obama o ustawach tak pisanych przez ekipę Busha, by zawsze znajdował się w nich szczerógł drogi sercu Demokratów, tak by przepchnąć je z większym sukcesem (s. 153) i utrudnić krytykę poczynañ rządu. To wszystko nie sprzyja uczciwemu wyrażaniu swojego zdania.

Obama dużo uwagi i miejsca poświęca gospodarczej innowacyjności. Pisze na przykład o programistach Google i o tym dlaczego nie ma wśród nich Latynosów i czarnych, za to jest pełno Azjatów i mieszkańców Europy Wschodniej (s. 164), pisze o odstrasżających dla młodych programistów utrudnieniach wizowych po 11 września. Obama ciekawie streszcza podejście RP i DP do problemów związanych z globalizacją i outsourcingiem. Clinton i jego skrzydło DP proponowało wolny handel, szkolenia, dyscyplinę fiskalną i inwestowanie w edukację, co nie satysfakcjonowało „robotniczej” mniejszości w partii. W GOP też zdania są podzielone, anty-imigranckie skrzydło pod ideową wodzą Pata Buchanana (ten konserwatywny komentator i tak napsuł już krwi ekipie Busha (np. krytykuje dominującą wśród Republikanów linię neokonserwatyizmu i wpływy lobby proizraelskiego w USA. Oświadczył sarkastycznie, że „Waszyngton to terytorium znajdujące się pod okupacją Izraela”) przeszkadza Bushowi w obronie wolnego rynku tzw. „Ownership Society” — prywatyzacja, ulgi dla przedsiębiorców itd. (s. 170). Według Obamy bezczynność rządu na dłuższą metę doprowadzi do zubożenia narodu i do dalszej polaryzacji politycznej. Zdaje sobie sprawę z niechęci Amerykanów do interwencjonizmu, i z ich biznesowego, a nie roszczeniowego nastawienia, lecz przypomina, iż już kiedyś Alexander Hamilton dostrzegł potencjał we współpracy rządu i przedsiębiorców i podjął kluczowe działania umożliwiające amerykańskiemu rynkowi finansowemu start, co kolidowało z agrarnymi wizjami Jeffersona, a jednak przydało się tworząc atmosferę społecznej mobilności, która do dziś wyzwala energię narodu amerykańskiego (s. 175). Obama mógłby równie dobrze cytować samego Adama Smitha, który wcale nie był przeciwny interwencjonizmowi rządowemu, ale przykład Hamiltona czy Lincolna też jest dobry. Lincoln, jak przypomina Obama, budował kolej transkontynentalną, przyjął ustawę o osadnictwie (1862) i założył Akademię Nauk. Te działania, tak samo jak ustawy antytrustowe Th. Roosevelta, czy Rezerwa Federalna Wilsona pobudziły ekonomię (s. 177). Obama jest zdania, że działania F.D. Roosevelta zapobiegły dalszemu kurczeniu się rynku w czasie Wielkiego Kryzysu (s. 179). Ustawy opiekuńcze z 1935 roku Roosevelta odzwierciedlały jego zdanie, że ludzie głodni i pozbawieni pracy to najlepszy zaczyn dla dyktatury. Tak samo myśleli Johnson i Nixon, i warto o tym pamiętać dziś kiedy New Deal bezsensownie kojarzy się z jakimś fatalnym socjalizmem. Obama słusznie krytykuje Reagana, który straszył rozděciem biurokracji w USA, w okresie, w którym socjalne wydatki USA, a nawet sam budżet federalny był zaledwie częścią tego co oferowały obywatelom państwa Zachodniej Europy (s. 181). Jednak pewna chęć uporządkowania gospodarki przez państwo doprowadziła do wyboru Clintona. Obama odpiera argumenty GOP, iż nakłady na edukację nie prowadzą do sukcesu pracowniczego jednostek (s. 189), choć nie uważa, że pieniądze załatwią wszystko. Obama jest wielkim zwolennikiem lepszego kształcenia nauczycieli, i innej rzeczy niechętnie widzianej przez GOP — inwestycji w alternatywne paliwa (s. 195), co może w końcu pozbawić terrorystów narzędzi energetycznego szantażu. Przypomina mi to uwagę Billa Mahera by nie kupować diamentów, ponieważ zyski z ich sprzedaży często finansują terroryzm. Podziwia Obama brazylijskie eksperymenty z biopaliwami, i postuluje pewne uprzywilejowanie pracowników produkujących auta hybrydowe. Eksponuje negatywny przykład Ukrainy — przykład zależności energetycznej. W 1993 roku Clinton bezskutecznie próbował stworzyć w USA powszechny system opieki zdrowotnej w oparciu o wzorce europejskie i kanadyjskie, zamiast tego nastala era Busha z charakterystycznym podniesieniem budżetu wojskowego o 74% i obniżeniem podatków spadkowych oraz w ogóle podatków dla najbogatszych, co zdaniem przytaczanego przez Obamę, Warreną Buffeta ma demoralizujący a nie stymulujący wpływ na takich jak on bogaczy (s. 221). Buffet godzi jakoby dyskurs lewicy i liberałów, gdy mówi, że zniesienie podatku spadkowego

przekazuje pieniądze do rąk często nieudolnych biznesowo dziedziców.

W rozdziale VI, poświęconym relacjom wiara-polityka, Obama daje wyraz swemu zakłopotaniu, gdy chrześcijańscy fundamentaliści atakują jego wysiłki mające na celu godzić chrystianizm z pluralizmem i liberalizmem. Obama ma dość wyważony stosunek do religii, przypisując jej rolę podłoża zarówno postępowego abolicjonizmu, jak i destrukcyjnych populizmów (np. Williama Jenningsa Bryana). Pisze Obama o duchu lat 50. i 60. Kiedy uważano, że religia wymrze, i o Carterze, który na fali sporów społecznych lat 60 i upolitycznienia religii (do sporów o prawa obywatelskie większość duchownych w USA stała twardo na stanowisku by oddać cesarzowi co cesarskie), jako pierwszy wprowadził język ewangelicyzmu do współczesnej polityki, choć szybko rolę tę podjęli politycy GOP (s. 232). I odtąd nastąpiła era gdy prawicowość ocenia się na podstawie frekwencji w kościele, a lewicowość wg natężenia świeckości, a obie na podstawie podejścia do sprawy Terri Schiavo. Opisując własne religijne doświadczenia, Obama pisze wprost, że jego liberalna i ateistyczna matka nauczyła go patrzeć na religię oczami antropologa, ale jego potrzeba zakotwiczenia (w końcu dorastał w różnych miejscach m.in. w Indonezji), w końcu skłoniła go do zostania chrześcijaninem (s. 241), uznając, że religia ta nie wymaga (sic!) od niego zaprzestania krytycznego myślenia. Można odnieść wrażenie, że Obama chciałby być żarliwszy religijnie, i nieco wstydi się swojego sekularyzmu, lecz jednocześnie uważa, że strach sekularnego rdzenia DP przed dyskusjami o religii i moralności, działa na korzyść GOP i do nikąd nie prowadzi. Ciekawie pisze o tym, jak wyprowadzał go z równowagi fanatyzm jego rywala w wyborach Alana Keysa, który uważał się za prawdziwszego chrześcijanina od Obamy (s. 245). Obama uznał więc za stosowne, że kiedy Jefferson i Madison wbrew Patrickowi Henry'emu i Johnowi Adamsowi (s. 252) przeforsowali w konstytucji, wzorowany na Wirginii rozdział kościołów i państwa, np. baptyści potrafili docenić tą zasadę i dostrzec w niej wiele zalet. A więc w domyśle mogliby uczynić to znów.

Jeśli chodzi o kwestie rasowe, Obama, podobnie jak choćby Morgan Freeman, nie wyróżnia czarnej historii od historii Ameryki (s. 267). Ta część książki Obamy jest szczególnie interesująca, ale mnogość szczegółów czyni ją trudną do streszczenia. Pisze np. o tym, że czasem przed restauracją kierowcy rzucają mu kluczyki, o „liberałach w białych rękawiczkach” — czyli jeżdżących Volvo i pijących białe wino i cafe latte, programowych antyrasistach, gotowych, jak mawiają ci z GOP: „poprzeć każdą przegraną sprawę” (s. 270-271), o akcji afirmatywnej jako złu koniecznym, i o zaniku tendencji do zakładania rodzin wśród młodych czarnych mężczyzn, co wynika po części z tego, że duży ich procent pracuje w fabrykach, którym zagrażają outsourcingi (s. 283-285), o tym, że los czarnej biedoty już nie wywołuje współczucia białych, którzy nie czują już poczucia winy za niewolnictwo, i o czarnych, którzy w większości przestają narzekać na skutki niewolnictwa, ale czasem jeszcze z nawyku każdą niepopularną decyzję nazywają rasistowską (s. 294). Pisze też o Latynosach, którzy nie stanowią już wspólnego frontu z czarnymi, bo ci zaczynają się bać ich konkurencji równie silnie jak biali. Wielki przyływ Latynosów postrzega jednak Obama jako szansę dla USA (s. 302), które wejdą pod względem demograficznym i produkcyjnym w XXI wieku na warunkach korzystniejszych niż kraje UE czy Japonia.

W kolejnym rozdziale poświęconym polityce zagranicznej USA, Obama ciekawie pisze o Indonezji, jej komunistycznym wybicciu się na niepodległość, potem o sojuszu Suharto z USA, i o krachu 1997 roku, który wzmocniony pogłoskami o spekulacjach finansistów Zachodu przeciw Indonezji (s. 319-320), wywołał epidemię skrajnego islamizmu, w tym dość umiarkowanym dotąd kraju. Następnie Obama rozpisuje się o tradycji polityki zagranicznej USA, izolacjonizmu Johna Q. Adamsa, oraz podejściu Trumana, który uważał, że sama siła USA wszystkich problemów świata nie rozwiąże (s. 328). Za wiarę, iż rozwiąże, i że liczy się tylko twarda siła, a nie perswazja, Obama krytykuje Reagana, choć chwali jego zaangażowanie dla próby niesienia wolności Europie Wschodniej (jak pisze wielokrotnie kłócił się o to z kolegami Demokratami, uważając, że ofiary ZSRR są tak samo godne współczucia i pomocy, jak ofiary Pinocheta). Pisze o sympatii Francuzów dla USA po zamachu 2001 roku (s. 337) i o pułapce jaką okazał się Irak, gdzie pomysłowi Amerykanie współdziałają z rozmaitymi marionetkowymi szyckimi politykami, by uczynić życie mieszkańców Bagdadu i okolic znośniejszym (s. 344). Obama radzi naśladować Trumana, rozwijać miękką siłę i nauczyć się doceniać ONZ, ponieważ na rozsądnej działalności w ramach ciał międzynarodowych, nikt nie ma tyle do zyskania co USA.

Bardzo ciekawy jest rozdział IX dotyczący rodziny. Obama pisze, iż obecnie przeciętna rodzina, w której pracuje jedynie mąż-ojciec ma pułap dochodów (jak uwzględnić inflację i wzrost kosztów edukacji), równy 3/5 lub 4/5 dochodów sprzed 2-3 dekad. A więc matki nie tyle chcą, co muszą pracować, i to temu oraz coraz bardziej specjalistycznemu charakterowi pracy (długie szkolenie do zawodu), a nie ruchom gejów czy antyrodzinnej „propagandzie” z Hollywood — przypisuje Obama

spadek popularności zakładania rodzin (s. 382). Odkryciem była dla mnie informacja, że konserwatywnie nastawieni czarni mężczyźni bardzo często nie zakładają rodzin, ponieważ wiedzą, że ich dochody nie pozwolą im na bycie super zaradnym ojcem na wzór lat 50, tak bardzo czują iż odstają od tego standardu (s. 399), że wolą nie czuć rozczarowań. Słusznie pisze Obama o zaporowych cenach opiekunek do dzieci i o pozostających daleko w tyle za Europą, amerykańskim systemem przedszkoli (chwali brytyjską "Kampanię na rzecz zrównoważenia pracy i życia — s. 395). Dobrze, że Amerykanie mają za prezydenta kogoś, kto w prostych słowach tłumaczy im takie sprawy. Sam dziwię się czemu tak łatwo oddaje się pola konserwatystom rzucającym gromy na permissywizm i gejów, skoro spadek dzietności to rezultat specjalizacji, komputeryzacji, globalizacji i urbanizacji...

Wygląda na to, że USA jest w dobrych rękach. Obama nie jest nawiedzonym socjalistą, lecz rozumiejącym globalną gospodarkę człowiekiem świadomym czekających go zadań. Myślę, że jego znajomość Kenii i Indonezji to nie wada lecz atut. Nic dziwnego, że wybrali go po raz drugi, mimo milionów włożonych w kampanię Romneya.

### **Piotr Napierała**

Urodzony w 1982r. w Poznaniu - historyk; zajmuje się myślą polityczną oświecenia i jego przeciwników i dyplomacją Francji i Anglii XVIII wieku, a także kwestiami związanymi z ustrojem państw (Niemcy, Szwecja, W. Brytania, Francja) w tej epoce.

[Strona www autora](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)



(Publikacja: 21-03-2013)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,8842) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,8842>)

Contents Copyright © 2000-2012 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2012 Michał Przech

Właścicielem portalu Racjonalista.pl jest Fundacja Wolnej Myśli.

Autorem portalu jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie elementy tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)